Nr. 34. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 24 sierpnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

Alfred Szczepański.

(Ciąg dalszy.)

Epoka IV.

Od roku 1740—1773.

Ogólny charakter — zasady.

Następuje epoka Stanisława Konarskiego.

Ogromny był upadek szkół i oświaty; różne tego podawano przyczyny i różne na to lekarstwa.

Starowolski pisze w „Reformie obyczajów“: „A ztąd każdy łacno obaczyć może, iż dla tego tak wiele z tych ludzi w Rzeczypospolitéj bywa, którzy się nierządem, rozbojem, kradzieżą, łupiestwem, pijaństwem bawią, że i ćwiczenie z młodych lat złe mieli, i że prawa żadnego do ćwiczenia młodzi w Polsce nie mamy. A zatem dobrzeby było, aby jako w wielu innych rzeczach, tak i w tym prawo na wychowanie z młodu wszyscy mieli jednakie.“ — To prawo na wychowanie, mimo ogromnego rozwoju zakładów naukowych, doznało jednak w téj epoce dalszych tradycyjnych już krzywd. Wolność nauczania kłóciły dalsze spory akademji, Jezuitów i Pijarów. Zakazy przeciw wolności uczenia się zostały na nowo podjęte, sformułowane i z nowych, odrodzonych szkół stanowczo nie szlachtę, więc włościan, mieszczan, żydów wykluczono. Pod względem zaś praktyki wykluczeń i ograniczeń, które odnosiły się do dawniejszych szkół, zapisał ksiądz Kołłątaj najsmutniejszy przykład: syna włościańskiego, który był już został subdjakonem, pan włości jako poddanego swego zarekwirował, odebrał, publicznie za wydalenie się kazał wychłostać i zrobił go lokajem przy sobie. Przykład ten charakteryzuje cały stan rzeczy i bliższe objaśnienia już zbytecznemi czyni.

Oprócz wykluczenia nie szlachty, była nauka w nowych szkołach zanadto kosztowną, a ztąd tylko dla zamożniejszéj szlachty dostępną.

O szkołach początkowych, o oświacie ogółu, o wychowaniu warstw uboższych, w takich warunkach prawie niema co i wspominać.

Zaród postępu i reformy leżał jedynie w szkołach pijarskich, które jedne, jakeśmy widzieli, nie były całkiem wyzute z narodowego, obywatelskiego charakteru. W tym téż zakonie powstał mąż, od którego reform zaczęło się odrodzenie nauki i oświaty w Polsce — t. j. w stanie szlacheckim. Czego nie dokonała walka z protestantyzmem, to dokonała choć w części emulacja z istotną, pożyteczną i postępową reformą: Konarski zmusił nawet Jezuitów do zrobienia kroku naprzód — na zacofanie atoli akademji wcale jeszcze nie było sposobu.

Otrząsnąć szkoły z filozofji scholastycznéj, zwrócić je do prawdziwéj klasyczności, zaprowadzić nauki przyrodnicze, naukę prawa polskiego, ulepszyć książki szkólne, wyrugować z wykładów łacinę a zaprowadzić wykłady polskie, dawać w szkołach obywatelskie, praktyczne wychowanie, oto, czego chciał dokonać Konarski za pomocą konwiktów szlacheckich. Obok téj reformy idzie jednak drugi prąd, prąd mody, francuszczyzny, jak to widzieliśmy już z obrazów przytoczonych z Opalińskiego. Streszczając zatem wszystkie razem,

znajdujemy następujące wybitne cechy w ruchu oświaty w téj epoce:

1) Sprawa oświaty zostaje ciągle wyłącznie w ręku duchowieństwa i zakonów;
2) Dawne szkoły pozostają i nadal w dotychczasowym swoim upadku i skrzywieniu;
3) Powstają dobre i liczne nowe średnie szkoły;
4) Stan szlachecki zostaje w części wyzwolony przez odrodzone w nowych szkołach wychowanie z jarzma jezuickiéj dewocji i ogłupienia;
5) w części zaś wyradza się oświata i wychowanie zamożniejszéj szlachty i magnatów w francuzkie libertyństwo i rozwiozłość obyczajów;
6) stanowcze wykluczenie od dobrodziejstw oświaty nieszlachty, która jedna nie cudzoziemczejąc, mogłaby była oddziaływać nieskażoną narodową oświatą przeciw prądowi zepsucia i mody;
7) częstsze już zajmowanie się państwa (króla, sejmów) sprawą oświaty — w ramach stanu szlacheckiego;
8) wreszcie podniesienie po raz pierwszy potrzeby szkół specjalnych, jako to najważniejszych dla Polski: szkół wojskowych i rzemieślniczych.

Dodać tu jeszcze trzeba smutną uwagę, że i najlepsze reformy wychowania mogły tylko nader powoli wpływać na podniesienie się poziomu oświaty w stanie szlacheckim, oraz nader powoli oddziaływać na stan wewnętrzny państwa, na ład i administrację, w ogóle na rząd. Przez cały bowiem czas państwowego bytu Polski piastowanie i otrzymywanie wszelkich urzędów administracyjnych, sądowniczych i wojskowych nie zależało od żadnych warunków zdolności, studjów, świadectw, lecz tak jak cała Rzeczpospolita, było przywilejem stanu szlacheckiego z mocy urodzenia tylko. Rozdawnictwo też urzędów odbywało się przez protekcję, stosunki, albo z wyboru sąsiadów. Konarski wprowadził był w swoich szkołach naukę przedmiotów potrzebnych dla obywatela, posła, dygnitarza, jak prawo polskie i t. d; niemniéj jednak kandydaci na dygnitarstwa i nadal wcale do posiadania tych nauk nie byli obowiązani. Dobre szkoły szerzą dobroczynny wpływ — swoją drogą jednak trwa daléj przywilej w przymierzu z ciemnotą. I dopiéro w epoce porozbiorowéj za pół wieku spotkamy się za Księstwa Warszawskiego po raz pierwszy z myślą obowiązkowéj łączności szkół, z potrzebami państwa, łączności kwalifikacji, zdatności z prawem do piastowania urzędów.

Rozpatrzenie szczegółowe.

Akademje.

I w téj epoce zamierzał był biskup St. Załuski zreformować akademję krakowską, lecz jak dawniéj ona się temu stanowczo oparła, podczas gdy równocześnie na uzyskanie kanonizacji św. Jana wydała 1 miljon złp.

Następnie znowu biskup Kajetan Sołtyk wyrobił sobie od króla i papieża (! pod koniec XVIII wieku) prawo wizytacji i reformy akademji krakowskiéj, stanowiącéj zupełnie niepodległe i nikomu nieodpowiedzialne osobne państwo w państwie. Ustanowił on komisje do zlustrowania stanu fakultetów, uczniów, burs, kolonji... lecz na tém się i skończyło... Komisje bowiem złożone były z kanoników kapitulnych, trzymających się za ręce z księżmi-profesorami. Ilekroć zdarzył się profesor, który zwiedzał zakłady zagraniczne, jeden więc lub drugi od czasu do czasu na swojéj katedrze niejakie wprowadzał ulepszenia. Ks. Kołłątaj w dziele „Stan oświaty w Polsce“, taki przedstawia obraz akademji krakowskiéj: „O Kartezjuszu, Gassendim, Leibnicu i Newtonie nie mówiono tam, tylko odrzucając ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tém, że chrześcijańskiemu filozofowi nie wolno wdawać się z nowemi filozofów sektami, ale owszém winien trzymać się jednéj, a to arystotelesowéj poprawionéj przez św. Tomasza.“ Wreszcie zaprowadzono kurs tak zwanéj filozofji eklektycznéj.

„Systema Kopernika, mówi daléj, choć był on uczniem i członkiem téj szkoły, nie było przyjęte, ani w astronomji, ani w fizyce, i nie można się temu było dziwić, bo astronomja nie miała obserwatorjum, a fizyka zatrudniała się tylko metafizycznemi kwestjami. Najznakomitszą osobą w matematycznéj szkole był regius astrologus; do niego należał rząd nad tą szkołą, aprobacja kalendarzy z ich prognostykami.“ Pod koniec téj epoki podniosły się nieco nauki przyrodnicze — i wprowadzono naukę języków wschodnich. Także wydział medyczny otrzymał profesorów i począł wydawać dyplomy. Bardzo one były rzadkie, i w ogóle z krajowców byli lekarzami tylko Żydzi, nie w akademji kształceni, — zresztą tylko Niemcy, Włosi i Francuzi, których dyplomu nikt nie stwierdzał. — Zaprowadzono téż prawo natury i narodów. Wydział teologiczny miał profesorów 12, filozoficzny 24, lekarski 5, prawniczy 8. Wykłady odbywają się tylko po łacinie.

Akademja Zamojska upadła zupełnie na początku XVIII wieku; w czasie wojen szwedzkich nie było ani uczniów, ani profesorów. Z polecenia ordynata Zamojskiego i breve papiezkiego zreformował ją Wojciech Laskaris, infułat ottycki, to jest usiłował przywrócić przynajmniéj do dawnego stanu i ściśle podzielić na wydziały. Profesorów zastał 12, medycyna od roku 1691 nie miała ani jednego: sprowadził on na jakiś czas jednego. Dochodu miała akademja 7,277 złp., co miało służyć na potrzeby szkoły i na pensje 14 profesorów. W r. 1775 miał wydział teologiczny profesorów 5, prawny 8, filozoficzny 5, lekarski żadnego. Języków greckiego i hebrajskiego, wyższéj matematyki, historji powszechnéj, prawa rzymskiego wcale nie uczono.

Akademja jezuicka w Wilnie trwała w dawnym stanie o dwóch wydziałach: filozoficznym i teologicznym; przybyła astronomja i obserwatorjum.

Jezuici podnosząc znowu dawną sprawę, otrzymali bullę na akademję we Lwowie. Akademje krakowska i Zamojska wytoczyły proces, mnogie były zatargi i burdy przez uczniów popełniane, Pijarzy w własnym interesie przyłączyli się do akademji, papież cofnął bullę; ledwo co otwarta akademja lwowska upadła.

W r. 1768 uchwalił sejm założenie akademji lekarskiéj i nauk przyrodzonych w Warszawie. Skończyło się na uchwale.

Szkoły średnie.

Tutaj występuje Konarski: wykształcony gruntownie, zbadawszy zagraniczne zakłady naukowe, widział on całą potworność systemu edukacyjnego w Polsce i zrozumiał, do jakiéj zguby kraj prowadzi. Przedsięwziął reformę. Środki jego były: energja niezmordowana, wykształcenie i sława, którą pozyskał jako profesor na uniwyrsytetach zagranicznych i która mu zrobiła znaczenie w zakonie; fundusze własne i krewnych, pokrewieństwo z magnackiemi domami, bez których poparcia nie byłby wówczas nic zrobił, i co mu ułatwiło napływ funduszów i wyrobienie subwencji od państwa. Zamierzając reformę gruntowną, zrozumiał, że bez wciągnięcia do dzieła przedewszystkiém szlachty znaczniejszéj, ani materjalnych środków nie dostanie, ani prędkich owoców z prac jego nie będzie. Dla tego zostawiając na boku dotychczasowe szkoły pijarskie, po większéj części chudopacholskie, postanowił podnieść najpierw oświatę stanu rządzącego, wychowy-

wać wyłącznie pokolenia rodzin bogatszych, w których ręku jedynie losy narodu spoczywały. Było to w danym razie może praktyczne i nieuniknione, ale zwiększało, jak słusznie mówi Mickiewicz w kursie lit. słow. i tak już ogromne przepaście w ustroju społecznym narodu i działało jako zły przykład.

Aby przygotować umysły, wziął się najpierw do pism i wydał dzieło: „O skutecznym rad sposobie“, „O poprawieniu błędów wymowy“ (zmakaronizowanéj, czczéj a napuszystéj, przedmiot bardzo ważny w państwie parlamentarném), torował drogi poprawnemu stylowi, rozumnéj myśli, oczyszczając zdrowe pojęcia w zasadniczych ustawach zawarte z przesądów, bredni i dziwolągów, które w skutek jezuickiego wychowania i nadużyć jednego stanu w obyczajach narodu, prawo obywatelstwa zyskały.

Następnie przedsięwziął w zakonie Pijarów przysposobić zdolnych nauczycieli, z którymi dzieło swoje mógłby w życie wprowadzić. W tym celu w seminarjum w Rzeszowie jako profesor, osobistą jedynie pracą utrzymuje niejako preparandę nauczycielską, sposobi alumnów na profesorów, umieszcza ich potem jako guwernerów przy synach bogatych rodzin i z nimi na dokończenie wykształcenia za granicę wysyła. Wielu z nich wysyła i na własny koszt do Włoch, do Niemiec, Anglji, Francji, każdego tam, gdzie dla swojego przedmiotu najlepsze mógł znaleść zakłady, obowiązuje ich do stałych sprawozdań o stanie i postępie nauk i sposobach uczenia.

Po takich przygotowaniach wypracował plan edukacji. Streszcza on swoje pojmowanie w jednéj z późniejszych mów inauguracyjnych w tych słowach: „że między obowiązkami wysokich urzędów, które piastują (słuchacze) najważniejszą powinna być troskliwość i dobre wychowanie młodzieży krajowéj, a zwłaszcza szlacheckiéj, jako téj, w któréj ręku losy ojczyzny złożone być mają; że Rzeczpospolita taka będzie, jakimi do sprawowania jéj synowie przystąpią, że ci takie obyczaje, taki sposób myślenia i działania na całe życie zatrzymają, do jakich zaraz w pierwszéj młodości nawykną.“

Uzyskał następnie od papieża mianowanie prowincjała zakonu wizytatorem szkół nowo mających powstać, z prawem reformy szkół dawniejszych pijarskich i z najznakomitszymi pod względem nauki i patrjotyzmu członkami zgromadzenia, uporządkował pierwiastkowe ustawy i liczne uchwały prowincjalnych kapituł, wyjaśnił je, rozszerzył i zastosował do postępu nauk i ulepszonego w Europie dawania ich sposobu, do formy rządu i potrzeb kraju. Dołączył szczególne dla konwiktów ustawy, jako też przepisy tyczące się wysyłania młodych Pijarów za granicę. Kodeks ten ostatecznie potwierdzony został w r. 1754; jest to dokument wieczystéj wagi i zasługi w dziejach naszych, dokument płodny w nieobrachowane owoce, jeden z największych zaszczytów naszych, godny poprzednik ustaw przyszłéj komisji edukacyjnéj. Tytuł jego: Ordinationes Visitationis apostolicae pro provincia polona C. C. R. R. M. D. scholarum Pijarum. O doniosłości reform Konarskiego świadczy najlepiéj ogromny postęp oświaty stanu szlacheckiego w epoce następnéj. Ograniczenie reformy wychowania tylko na stan szlachecki nie może być, jak już wspomniałem, Konarskiemu poczytywane za winę, lub krótkie widzenie rzeczy. Przyczyny tego złego były wiekowe, a Konarski zastał dane warunki, do których musiał się zastosować.

Takie były przygotowania i zasoby, odpowiedziało im samo dzieło. (Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

V. Krzyżowe drogi.

I. Ofiara skrupułów.

Powróćmy teraz do głównéj figury naszéj powieści — do Anetki.

Przypatrzmy się dalszym losom téj dziewczyny, która rzucona w świat bez gruntu moralnego, bez zasad, bez wiadomości złego i dobrego, stała się igraszką najrozmaitszych wpływów, które nią miotają, jak wiatr kawałkiem papieru po drodze. Bierność, bezbarwność, odrobina serca i dużo fantazji chorobliwéj stanowią jéj charakterystykę. — Umyślnie wziąłem ją za bohaterkę, a raczéj ofiarę, bo jest to typ niestety zbyt częsty w naszém społeczeństwie, które kobiétę wychowując w niewiadomości sądzi, że ją ochroni od pokus złego. Tam, gdzie na straży téj nieświadomości stoją zamki haremu lub argusowe oczy opieki, być może, że kobiéta przejdzie przez życie nie spotkawszy się oko w oko z potworną twarzą złego i nie straciwszy delikatnéj barwy raju i skromności. — Ale weźmy warstwy niższe, do których taka Anetka należy — cóż tam stanie na straży, co nauczy tę kobiétę odróżnić powabny pozór występku od surowéj cnoty, kiedy nikt téj kobiécie nie pokazał tego złego, co pod przeróżnemi maskami spotykać ją będzie w życiu i kusić. — Kobiéta taka wchodzi w życie nie znając go, poznaje pojedyncze odcienia jego urywkami, a najczęściéj doświadczeniem bolesném. Każda matka uważałaby sobie za grzech, za zgorszenie, gdyby córce odkryła brudną stronę życia, gdyby jéj opowiedziała to, co może sama przeszła w życiu. Wysyła ją między ludzi, jak ów wieśniak syna do lasu, nie mówiąc mu, że tam wilka spotkać może, aby go nie straszyć — i chce wierzyć, że ta nieświadomość ochroni ją. — W społeczeństwie takiém, jak nasze, gdzie kobiéta uważana jest jeszcze za rzecz, którą, gdy nie pilnowana, skraść się kusi taki nawet, który kradzież paru guldenów uważałby za występek i nieuczciwość, w społeczeństwie takiém kobiéta, szczególniéj kobiéta klas średnich, którą ani pozycja towarzyska, ani troskliwa opieka bronić nie może, powinna wejść w życie jak szermierz na arenę, znać podstępy przeciwnika, jego słabe strony; nie upadnie wtedy, chyba z własnéj winy.

Tymczasem u nas dzieje się przeciwnie. Bez należytych zasad, bez dobrego przykładu wchodzi taka kobiéta w życie — mając za całą broń najczęściéj tylko książkę do nabożeństwa. — Ster to za słaby. — Książka, która uczy szukać dróg w niebo, nie zawsze nauczy żyć na ziemi, wśród burzy życia często nie wystarcza drukowana modlitwa, za słaba to kotwica na

opór wzburzonych fal namiętności, szczególniéj gdy się nie wie, dokąd płynąć trzeba. — A właśnie ta bezcelowość, te marzenia bez kierunku są najsłabszą stroną kobiéty. Nie mając wytkniętych dróg życia, chętnie poddaje się biernie losom wierząc, że ją do szczęścia poniosą. — Matka pierwsza rozbudza te marzenia spowiadając się córce z nadziei swoich, rojąc dla niéj los świetny. — Częściéj w nadziejach tych przewinie się chęć: aby córka zrobiła los świetny, niż aby była szczęśliwą i cnotliwą. — Cóż dziwnego, że potém córka po omacku szukając tych dróg do szczęścia, zabłąka się i upadnie? —

Coś podobnego stało się z Anetką. Matka jéj, kobiécina cicha, łagodna, żyła ciągle nadzieją szczęśliwego losu swéj córki. W miarę im rzeczywistość była smutniejsza, marzenia jéj stawały się bujniejsze, niemi karmiła siebie i córkę. — Domysł, że ksiądz proboszcz, brat jéj, jak każdy proboszcz ma zapewne nie mało grosza, który kiedyś dostanie się Anetce, podsycał nadzieje. — Staruszka wierzyła także w bogate zamążpójście Anetki, co przy jéj urodzie nie zdawało się dla matki bardzo trudną rzeczą. — Piękność Anetki, która ojca nabawiała strachu, matce poddawała najrozkoszniejsze marzenia. — Biedna kobiécina umarła przed spełnieniem nadziei, nauczywszy córkę modlić się i marzyć i wierzyć w jakieś niespodziewane zmiany. — Samotne życie jeszcze więcéj rozwinęło te chorobliwe marzenia. Anetka wierzyła w jakieś niezwyczajne koleje życia, w niespodziewaną zmianę. — Każda nowość w życiu, nic nie znaczący wypadek podsuwał jéj te myśli. — Dziwne poznanie się z Augustem, dziwniejsze jeszcze spotkanie, było niemałym pokarmem dla chorobliwéj fantazji i marzenia jéj wprowadziło w ruch niezwyczajny. — Na nieszczęście oświadczyny Augusta sprowadziły prędko te marzenia na ziemię i zakreśliły im granice. — Graaica ta wydawała się jéj za ciasna, czuła się niezadowolnioną, miłość i stanowisko Augusta nie odpowiadały jéj oczekiwaniom. — Przypadek podsunął jéj inne nadzieje w miłości Zenona, a choć to były nadzieje mgliste, niepewne, to jednak ta niepewność była urokiem, który ją pociągał. — Gdyby ją nauczono podejrzywać ludzkie zamiary, gdyby jéj powiedziano, że są ludzie, którzy dla chwilowéj rozkoszy, dla uwiedzenia kobiéty nie wahają się mówić jéj takie słowa, na jakie często prawdziwa miłość zdobyć się nie może, — możeby cofnęła się z niedowierzaniem od gorących, namiętnych wyznań Zenona i wróciła pod spokojne, łagodne promienie miłości Augusta. Ale nikt jéj tego nie powiedział, więc na oślep, bez wahania podążała ku téj przepaści, któréj brzegi tak ponętnie wabiły jéj fantazję. — Sumienie wprawdzie robiło jéj małe wyrzuty i niepokoiło ją jéj postąpienie z Augustem, ale podsunięto jéj religję jako skuteczne lekarstwo na sumienie; przekonano ją, wmówiono w nią, że to, co robi, robi dla zbawienia swéj duszy. Z książką do nabożeństwa szła na manowce.

Widzieliśmy w owéj nocy, w któréj August stanął w Wybrzeżu, jak daleko zaszła biedna dziewczyna, kierując się złemi radami i chorobliwą fantazją. Pomimo to nie czuła jeszcze całéj grozy swego położenia. Upadłszy z miłości dla Zenona wierzyła, że ta miłość ją podniesie, że osłoni przed ludźmi. — Zenon dał jéj tę wiarę łudząc ją, że skoro tylko przygotuje matkę dostatecznie przez księdza Albina, wyzna jéj swą miłość i zakończy romans ślubem. — Anetka wierzyła jak w zbawienie w te obietnice i czekała.

Zenon czas jakiś żywił w niéj tę wiarę, bo go to uwalniało od skarg i wyrzutów; ale w końcu widząc jak Anetka silnie ufała jemu, począł niepokoić się położeniem, jakie sam stworzył. Stosunek z Anetką zaczął mu ciężyć, wnet się nim przesycił. Człowiek zużyty, przyzwyczajony do ciągłego drażnienia nerwów kokieterją i lubieżnością, w łagodnéj i powolnéj miłości Anetki zasmakować nie mógł. — Opór jéj roznamiętniał go. Gdy opór przeszedł w powolność i namiętność osłabła. Miłość Anetki poczęła go nudzić, widok jéj zawadzał mu. Nie wiem, czy w skutek tego, czy téż dla innych powodów, postanowił na czas jakiś wyjechać. — Dla uspokojenia Anetki przedstawił jéj, że ten wyjazd ma na celu przyspieszenie małżeństwa, że jedzie do jednego ze swych krewnych, który ma wielki wpływ na matkę i chce go prosić o wstawienie się. —

W dzień odjazdu Finger był rano u Zenona, wezwany umyślnie przez niego. Dawał mu jakieś polecenia, których ciekawy lokaj, podsłuchujący pod drzwiami, żadną miarą usłyszeć nie mógł, oprócz kilku słów, które Zenon silniejszym już głosem powiedział:

— No, spodziewam się, że interes nie tak trudny i nieprzyjemny, i to za taką nagrodę. —

Finger ukłonił się i wyszedł zacierając ręce, co było znakiem wielkiego zadowolnienia. — Ktoby go był tego dnia pilniéj uważał, spostrzegłby, że podczas nieszpornego nabożeństwa w kaplicy często rzucał badawcze z pod oka spojrzenia na córkę starego muzykanta. —

Anetka modliła się z całém oddaniem ducha. Cała utonęła w modlitwie, bo modlitwa była teraz jedyną jéj bronią, pociechą, nadzieją. — Modliła się o szczęśliwą podróż dla Zenona, o przychylność kuzyna dla ich małżeństwa, o przemianę serca matki Zenona — i z każdym dniem coraz bardziéj wierzyła, że Bóg wysłucha jéj prośby. Nie dziw więc, że nabożeństwo jéj przeszło w szał prawie. Całe dnie przepędzała na klęczkach, zadawała sobie różne umartwienia, suszyła, pościła, odmawiała litanje, nowenny, godzinki, ubierała ołtarz w kwiaty, po nocach haftowała obrusy na ołtarz — a wszystko na intencję szczęśliwego powrotu Zenona. — Miłość i pobożność splotły się w jéj sercu nierozerwanemi węzłami. — Nie mogła się modlić bez myśli o Zenonie, nie mogła myśleć o nim bez westchnienia i pacierza. — Tak jedno uczucie pięło się po drugiém, jedno drugie podtrzymywało, a obydwa na bujnym gruncie fantazji rosły szybko ku niebu. — Ksiądz Albin, który jako spowiednik znał dobrze wewnętrzne intencje pobożności Anetki, starał się radami i naukami osłabić w niéj ziemskie uczucie na rzecz niebieskiego, tłomaczył jéj marność miłości człowieka i trwałość szczęścia wiekuistego, i usiłował uśpić w niéj uczucie dla Zenona, pragnienia ziemskiego szczęścia, a skierować jéj umysł w czyste sfery pobożności. — Anetka słuchała w pokorze rad jego, ale posłuszną im być nie mogła. — Nie mogła nawet wystawić sobie, jak mogłaby wierzyć w dobroć i potęgę Boga, gdyby Zenon ją porzucił, jak mogłaby bez miłości jego kochać — bez nadziei połączenia się z nim spodziewać się czego i być szczęśliwą bez niego. Oba te uczucia w sercu jéj miały splątane korzenie — wyrwać je ztamtąd groziło jéj śmiercią moralną lub fizyczną. — Anetka nie chciała myśleć o tém, — a ksiądz Albin nie mógł tego rozumieć, a może chciał nie rozumieć. —

Co zaś do matki Zenona, ta była zachwycona pobożnością Anetki, nie znając tajnych jéj pobudek. — Stawiała ją na przykład innym i chwaliła z pewnym rodzajem dumy, bo miłość własna szeptała jéj, że to jéj dzieło, że to ona wyrwawszy Anetkę z otoczenia ludzi wolnomyślnych i obojętnych na sprawy religji, pozyskała tę duszę niebu. — Trzymała ją ciągle w swojém towarzystwie, by, jak mówiła, budować się jéj pobożnością. —

— Ja starsza siostra twoja w Chrystusie — mawiała nieraz — a jednak o ile niżéj stoję od ciebie w łasce u Pana. — Jakże pragnęłabym być tobie podobną, mieć tę wytrwałą gorliwość służenia Bogu. —

Anetka wtedy rzucała się do nóg swéj opiekunki, całowała jéj ręce i płakała z radości. — Słowa bowiem pani Beaty dawały pewność jéj nadziejom. Nie wątpiła, że ta, która ją tak wysoko stawia, cieszyć się będzie, gdy się dowie o miłości syna dla niéj. — Miała nawet nieraz ochotę wyznać jéj wszystko, ale obietnica dana Zenonowi krępowała jéj usta. — Czekała tylko niecierpliwie jego powrotu; nieobecność jego wydawała się jéj okropnie długa. —

Nareszcie raz z rozmowy pani Beaty z kapelanem, która się odbywała w jéj przytomności, dowiedziała się, że Zenon pisał, że donosił jéj w liście, że interesa pomyślnie idą i że wraca za tydzień.

Anetka nie posiadała się z radości; zrozumiała, domyśliła się, co Zenon myślał pod pomyślném interesem. — Więc pozyskał swego krewnego — myślała sobie — więc wróci i skończą się moje niepokoje, obawy i moja tęsknota. — Ta nadzieja rozpierała jéj piersi — rada była wypowiedzieć ją, podzielić się nią ze wszystkiemi, a musiała milczeć. To ją męczyło. Wcześniéj więc pożegnała dziedziczkę i wróciła do siebie. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Straż nad Wartą.

Gdzie Mieczysława gród,
Przed wrogiem twarzą w twarz
Niech stanie polski lud
I dzielną stawi straż!

Najezdnych, głodnych rzesz,
Już słychać wściekły wark...
O! spiesz się ludu, spiesz,
Hydrze téj zetrzeć kark!

Jak morzu łańcuch skał
Odporną staw im straż!
A gdzie ich sztandar wiał,
Niech znak powionie nasz!

Polskiego słowa ton,
Przez ich tłumiony stał —
Niech zabrzmi jako dzwon,
I wolny płynie w dal!

Biały, do białych gwiazd,
Zkąd wzbił się orzeł nasz!
W obronie orlich gniazd,
O! ludu, trzymaj straż!

Władysław Bełza.

OJCZYM.

Powieść współczesna
przez
Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na nowe nabicie brak już było czasu... ale pojedyncze strzały padały... paru kosynierów się potknęło, arab choć ranny trochę sadził w przepysznych skokach jak w ujeżdżalni, a pan jego z pałaszem w ręku, o parę kroków przed frontem, wskazywał im drogę. Moskale nie ustąpili ani na krok. Masa lecąca starła się ze stojącą, kosy zazgrzytały na lufach karabinów i chwilę trwał chaos, szczęk, brzęk, ale bez krzyków i przekleństw. Była to chwila owa, gdy nikt nie klnie i nie prosi, nie jęczy, gdzie bój toczy się zawzięty, więc milczący...

Kosy zrobiły swoje. W ręczném starciu nigdy im bagnet nie wytrzymał.

Linja moskiewska złamana, rozbita... zaczęła się chwiać, cofać, nareszcie uciekać... W téjże chwili z lasku pokazali się strzelcy i rozwinęła się rzeź prawdziwa. Chłop nasz trudny do poruszenia; gdy raz się rozmacha, wściekły jest i szalony... Kosynierzy mordowali okropnie, tém bardziéj, że i dzielne roty moskiewskie broniły się do upadłego...

Artur zapomniał, że jest wodzem... Rąbał na obie strony, darł się w środek ciżby, gonił, ścigał, rozpędzał. On i koń jego byli zbroczeni krwią... pokłuci bagnetami... Artur ani wiedział o tém... Czuł on w téj chwili te wszystkie namiętności wrzące, jakie robią z ludzi bohaterów, lub rozbójników.

Henryk tymczasem stał sobie pod lasem, patrzał na to wszystko i myślał:

— Dziwne to sprzeczności w człowieku... Ten naprzykład wróblaby nie zarznął, wczoraj nie chciał szpiega powiesić... a tu z takiém amatorstwem morduje ludzi...

Zwycięztwo było prawie zupełne. Dwie roty były wycięte, zgniecione, rozpędzone... Kosynierzy tu i owdzie ścigali jeszcze uciekających, Artur ochłonął nareszcie i przypomniał sobie swoje obowiązki.

Pole naokoło niego było okryte trupami i rannemi, a rany od kos są okropne... Ludzie prawie do połowy poprzecinani, bez rąk, bez nosów, bez całych twarzy czasem, ruszali się jeszcze, jęczeli i o śmierć błagali...

Artur wściekły w czasie boju, po walce miał serce kobiéce...

— Rannych zebrać — zawołał — broń także jak najstaranniéj...

I sam popędził ku grobli, żeby zobaczyć co się tam dzieje. I tam poszło wszystko jak najlepiéj, ale walka jeszcze trwała. Z za wozów, z moczarów, z zarośli nadbrzeżnych, padały ciągle strzały. Jazda nie mogła nieprzyjaciela ztamtąd wyparować.

Dobiegając do grobli, Artur zobaczył dwóch kawalerzystów, niosących rannego człowieka. — Jakby tknięty przeczuciem zboczył nieco i o dziesięć już może kroków poznał, że niesiony człowiek był Antonim.

Koń stanął jak wryty i Artur w téj chwili był na ziemi.

— Zabity?...

— Jeszcze żyje, panie naczelniku, ale chyba nie wiele mu się należy.

— Połóżcie go...

Czy spoczynek chwilowy, czy wrażenie ukochanego głosu, ranny otworzył oczy.

— Paniczu kochany — rzekł z wysileniem — pobiliśmy gałganów... na miazgę... ale ze mną już koniec... szkoda... jeszcze by człowiek wojował... jak dziś... ach!...

I krew mu buchnęła z przestrzelonéj dwa razy piersi.

— Ależ ty żyć będziesz mój drogi... mój poczciwy Antoni.

— Nie... nie... żegnam panicza... niech cię Bóg prowadzi... daj rękę... i jedź... trzeba z koni zsadzić ułanów i niech na piechotę... na piechotę gałuszą... Moskali...

— Mój Antoni... drogi mój Antoni... — wołał Artur ze łzami i głowę jego podnosząc pocałował w czoło starca...

— Poczciwe panisko! — szeptał coraz ciszéj — ale czas... tam czas...

— Prawda!... zacny przyjacielu — szepnął mu w ucho młodzieniec — ty mi teraz jeszcze obowiązek mój przypominasz... ale ja tu wrócę... do widzenia Antoni!...

— Tam chyba -- rzekł usiłując podnieść rękę — byle jak najpóźniéj... i lekki uśmiech zabłąkał się jeszcze na bladych ustach.

Artur dosiadł konia i z sercem rozdartém popędził ku grobli... Teraz dopiéro poczuł on, jak kochał starego sługę... Zdawało mu się, że większa jeszcze pustka zrobiła się koło niego, i mimo woli spojrzał w stronę dworu. Tam, pod altaną, śnieżna postać kobiéca widniała ciągle, tam biło ostatnie, kochające go serce... Ale nie można było się wpatrywać długo, bo rzeczywiście czas był wielki złe naprawić. Moskale korzystając z bezsilności kawalerji i usunięcia się strzelców z ogrodu, po drugiéj stronie rzeki zaczęli się skupiać po kilku i kilkunastu i wkrótce mogli utworzyć wcale poważną siłę.

Jazda, która mocno ucierpiała, sformowała się po za wozami i niezdarnemi strzałami z pistoletów i karabinów odpowiadała na ogień w moczarach gromadzącéj się piechoty.

Artur jednym rzutem oka objął stan rzeczy, jednemu z kawalerzystów kazał jechać co koń wyskoczy i przywołać strzelców.

Może miał ochotę czekać ich przybycia, ale duma szlachecka i lekkomyślność polska przemogły — zdecydował się inaczéj...

— Z koni i za mną — zakomenderował — nabić karabinki.

I sam dając przykład, zesiadł, rewolwery wyjął z olstrów i konia oddał zołnierzowi. Arab jakby złego coś przeczuwając, szarpnął się, wspiął i z przestrachem oglądając się za panem, rwał się, jakby chcąc iść za nim. Artur nie uważał tego.

Około czterdziestu jeźdźców z nabitemi karabinami porzuciwszy lance, czekało jego dowództwa. Artur przeprowadził ich po za barykadę poprzewracanych wozów, rozrzucił ich w szeroką linję i półkolem. grzęznąc w błocie, zaczął iść wraz z nimi ku miejscom, zkąd Moskale leżąc w tataraku na brzuchach, razili naszych.

— Strzelać tylko na pewno i maszerować ostro... ale się linji trzymać!... Strzelcy lada chwila nadejdą.

Wstępując na ten grunt, Artur znajdował się już bezpośrednio pod okiem Poli. Przedzielała ich tylko łąka i staw... kilkaset kroków najwyżéj. Rysy prawie można było rozróżnić... Artur jednak tylko przelotnie spojrzał na kochankę... bo miał ciężkie zadanie do spełnienia.. Ona za to drżąca, przerażona, zachwycona, całą duszę wlała w oczy, całe serce w modlitwę, którą jéj blade usta szeptały po cichu...

— Babciu!... on tu zginie!... wołała ściskając konwulsyjnie ramię staruszki!...

— Spokoju moje dziecię... spokoju... Bóg go uchowa!... ach!... jaki odważny... prawie taki, jak mój nieboszczyk...

— Babciu — mówiła znów Polcia — Moskali w téj trawie trzy razy tyle co ich... widzi Babcia te szare gromadki ruszające się w trawie?...

Polcia miała moczary u nóg swoich i widziała to, czego Artur widzieć nie mógł...

— Oh! — krzyknęła i zakryła twarz rękami — czy nie zginął?...

— Nie... nie... patrz... ani drgnął nawet... dzielny chłopak...

— Dzięki ci Boże!... Matko Boska... i Polcia szeptała daléj modlitwę.

W czasie téj rozmowy kawalerzyści Artura półkolem brnęli w błocie, łuk zakreślony ścieśniając ciągle. Mimo nakazu wodza, szli oni wolno, krok za krokiem, bo inaczéj było niepodobna. Możnaby było sądzić, że to polowanie na kaczki lub bekasy, gdyby zamiast wodnego ptactwa nie wylatywał z błota co chwila płomień, dym i ołowiu kawałek.

Już trzech śmiałków przycupnęło w trawie z jękiem zabitych, czy rannych... koło się ścieśniało... legowisko wroga było blisko...

Naraz o kilkanaście kroków przed Arturem, jakby za naciśnięciem sprężyny, podniosło się kilkanaście czarnych obłoconych postaci i jak z wulkanu, z gromadki téj buchnęła błyskawica, dym, huk...

— Pal do nich!... zagrzmiał głos Artura... i razem z tym krzykiem z półkola błysnęły strzały i nieszczęsna gromadka stopniała znacznie...

— Prastite! krzyczała reszta — rzucając karabiny daleko od siebie.

Wszystkie oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie Artur stał przed chwilą, czekając komendy.

Ale na tém miejscu nie było w téj chwili nikogo.

— Naczelnik zabity!... odezwał się głos jakiś i najbliżsi przedzierać się zaczęli...

Ale nim się żołnierze spostrzegli, widział to ktoś inny... Zaledwie dym od strzałów się rozszedł, pewne oczy dostrzegły, że człowiek w białéj rogatywce schwycił się za piersi, cofnął parę kroków w tył i upadł w trawę.

Na ten widok krzyk przeraźliwy, okropny rozdarł powietrze, biała kobiéta w ogrodowéj altanie porwała się za głowę, przyczém spadł słomkowy kapelusz, i po chwili takiéj rozpaczy, jak strzała biedz zaczęła na dół ku mostowi... Za nią widać było drugą postać... która wyciągając ręce, zdawała się gonić pierwszą.

Ale ani tych ruchów nikt nie widział, ani nikt nie słyszał krzyku.

Gdy dwaj żołnierze dostali się do Artura, znaleźli go do połowy leżącego w wodzie, bezprzytomnego... Z lewéj piersi płynęła krew jak koralowy sznurek. Kilka garści wody ocuciło go.

— Nie zabijać poddających się — zawołał — zasłyszawszy znać ów krzyk o przebaczenie, ale krew mu ustami buchnęła...

— Ah!... — jęknął — rozumiem...

W dziesięć minut potem ranny leżał na grobli na posłaniu z siana. Gdy go nieśli, spotkał strzelców na pomoc spieszących. Skinął na kapitana, szepnął, że na niego zdaje dowództwo oddziału i wskazując na łąkę, rzekł:

— Tam ich jest trochę... ale nie dopuszczajcie barbarzyństw...

Henryk stał na grobli i widział także wszystko. Gdy ujrzał padającego Artura, twarz jego przeciągnęła się, pożółkła, usta silnie się zacisnęły...

— Jeszcze jeden... — mruknął — Polsko! jak my cię kochamy!...

Gdy położono Artura na sianie, Henryk klęknął przy nim, rozdarł bluzę i zaczął oglądać ranę.

— Śmiertelna?... nieprawda? szepnął ranny.

— Hm... trudno wiedzieć... zdaje się, że nie.

— Ah! westchnął Artur.

Trwała chwila milczenia, a w około gromadzili się posmutniali żołnierze.

— Na wszelki wypadek — przebacz mi Arturze... rzekł nareszcie Henryk.

— Co takiego?

— Gdyby nie ta rana, jutrobym cię był pod sąd oddał... i... skazał...

Artur spojrzał w oczy Henrykowi, a potem ściskając jego rękę, rzekł cicho:

— Żebyż Polska więcéj takich, jak ty, miała!...

Przyniesiono nosze w téj chwili...

— Gdzie mamy nieść? pytali żołnierze.

— Do dworu — rzekł stanowczo Henryk — a po cichu dodał: Szlachetnemu dziecku należy się choć w ostatniéj chwili zabawka... Polsce już on na nic...

Przy młynie wstrzymana przez straże i przez zerwanie mostu biedna Pola umierała z rozpaczy, i niepomna na wszystko, błagała, żeby ją puszczono. Majorowa płacząc z nią razem, uspakajała ją jak mogła.

Nosze przeciskały się wśród zawalonéj wozami drogi, a tłum żołnierzy otaczał jeszcze ukochanego naczelnika.

Na wszystkich twarzach, czarnych, zakurzonych, krwią zbryzganych, widać było smutek, na niejednéj dwie łzy, jak dwa strumienie wyżłobiły dwa wilgotne i czyste paski na tle zbrukaném.

Na moście, Artur zrobił wysilenie, a oparłszy się na łokciu podniósł głowę i zawołał:

— Bądźcie zdrowi bracia... Do widzenia... Niech żyje Polska!...

— Niech żyje nasz naczelnik... wydobył się jeden okrzyk i poleciał po szeregach aż na ich krańce.

Gdy Pola usłyszała głos Artura, gdy twarz jego zobaczyła bladą, ale żywą jeszcze, zdawało jéj się, że niebo otworzyło się przed nią. Natomiast jednak znikła odwaga rozpaczy, a wstyd kobiécy wrócił.

Zbliżyła się jednak do chorego i nie patrząc nań, rzekła drżąco:

— Wszak rana nie niebezpieczna?

— Oh! wcale nie — odrzekł Artur — hamując siłą woli napływ krwi do gardła.

— Mogęż prosić o łaskę?

— Pani żartuje — szepnął ranny.

— Boże!... w téj chwili — i podniosła pełne łez oczy.

Dreszcz ją przejął. Artur wysilony rozmową, zmęczony walką całodzienną i krwi ubiegiem, był blady okropnie; a oczy patrzące miłośnie na nią zdawały się zamykać snem śmierci.

— Nieście go! — zawołała przerażona — nieście do dworu...

Smutny orszak zniknął wśród krzewów starowiejskiego ogrodu.

Na drugi dzień rano, w Staréj wsi nie było prócz rannych, ani jednego powstańca. Obóz odszedł. Na pobojowisku tylko chłopi kopali dwa wielkie doły, a właściciele wozów, płacząc i narzekając, starali się każdy swój wydobyć z błota, lub wycofać jego szczątki z grobli. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Z PRZYRODY.

Artykuł piąty.

O uczuciach nienawiści u ludzi i zwierząt.

Artykuł niniejszy jest niejako dopełnieniem drukowanego w numerach 17 i 18 naszego pisma traktatu „O uczuciach przywiązania u zwierząt.“ Tak ten jak i poprzedni artykuł piszemy podług uczonych studjów znakomitego naturalisty belgijskiego p. Houzeau, który uważając człowieka za zwierzę drapieżne, odkrywa w nim wszystkie stopnie brutalności właściwéj zwierzętom, począwszy od obojętności na cierpienia drugich, aż do okrucieństwa zadającego i mnożącego te cierpienia. P. Houzeau dopatruje zarówno w ludziach jak i zwierzętach zarodków bezwzględnéj brutalności, która rozwija się lub niknie stosownie do sposobu życia i stopnia oświaty.

I.

Zupełny brak czułości nietylko w obec zwierząt ale w obec bliźnich objawia się w naturze ludzkiéj tak wybitnie, że istotnie trudno dopatrzeć różnicy między żołdakiem mordującym bezbronnego Archimedesa, lub myśliwym słuchającym obojętnie jęków dogorywającéj sarny a zwierzętami, któremi się codziennie posługujemy.

Dziecko dręczy małego psa lub kota nie zważając bynajmniéj na pisk nieszczęśliwéj ofiary. Bolesne drgania a nawet krew nie robią na niém najmniejszego wrażenia, w takiém bezczuciu wzrasta ono, a stawszy się dojrzałym człowiekiem poluje, idzie na wojnę, krzywdzi drugich, nie zastanawiając się wcale nad obrazem swoich uczynków.

Któż z nas nie czytał o sposobach wymiaru sprawiedliwości u ludów barbarzyńskich, któż nie wié, jak rządy cywilizowane obchodzą się z przestępcami politycznymi podczas stanu oblężenia, któż zapomniał o najnowszych scenach w Bazeille i na bruku Paryża?

Sposób w jaki narody cywilizowane obchodzą się z ludami dzikiemi nowego świata, postępowanie Portugalczyków w Afryce a Anglików w Indjach, dowodzą jaskrawo, do jakiego stopnia dochodzi nieczułość i brutalstwo zdobywców. W r. 1749 gubernator angielski Halifax płacił po 10 gwinei za każdego zabitego lub wziętego do niewoli Indjanina; w lat sto niespełna później słynny Szela dostarczał rządowi austrjackiemu głowy polskiéj szlachty za nierównie niższą cenę.

Instrukcja gubernatora Amhersta z 10 sierpnia 1763 r. mówi wyraźnie, żeby nie brać do niewoli żadnego Indjanina, ale mordować wszystkich bez wyjątku. Toż samo opiewa rozkaz Ludwika XIV dotyczący Irokezów a wydany na imię gubernatora Kanady Denonville'a w 1687 r.

Podług Broderipa (Zoological Recreations II) w podobny sposób postępują silne rodzaje małp zwane antropomorfanami i orang-outang (simia satyrus) nadużywając swéj fizycznéj siły i przebiegłości. W postępowaniu ich z innemi zwierzętami dostrzedz można wiele bardzo podobieństwa do narodów rozumiejących zbyt wiele o swéj rasowéj wyższości, upatrujących w swych sąsiadach same tylko karykatury rodzaju ludzkiego, niezdolne do cywilizacji. Małpy biją się między sobą i zabijają zupełnie jak ludzie; podzielone na małe stada ulegające władzy jednego, ścigają się i wypierają z zajmowanych

legowisk, przy czém zdrada i podstęp nie małą odgrywają rolę*).

Pszczoły staczają również zacięte walki a nawet, jak świadczy Réaumur (Mémoires sur les insectes), mordują starych współobywateli ula niezdolnych już do pracy. Toż samo zauważył Frémont u stepowych bawołów i innych zwierząt żyjących w stadach, które morderstwem pozbywają się starych i niedołężnych. Mouffet (Theatrum insectorum) opowiada ciekawe szczegóły walki mrówek, które odbywają się z niesłychaną zaciętością nietylko na zewnątrz, jeżeli gniazda z sobą sąsiadują, ale również na wewnątrz między członkami jednego gniazda, jeżeli, jak się to najczęściéj dzieje pomiędzy rodzajem mrówek czerwonych, jedno stronnictwo chce pozbyć się drugiego przez wyrzucenie go z mrowiska. Gdy wysłańcy dwóch mrowisk wypowiedzieli wojnę i zwołali rezerwy, kolumny mrówek występują z gniazda, szykują się, atakują i cofają jak ludzie. Niewolników uprowadza zwycięzka strona do swego gniazda a po skończonéj walce obie strony zbierają pobite trupy i unoszą ze sobą. Podobieństwo tych walk do wojen ludzkich jest, podług świadectw wielu naturalistów, niesłychanie uderzające**), jeżeli zaś powiemy teraz, że istniejące w gorących krajach rodzaje mrówek białych mają osobny zupełnie stan, oddający się tylko wojnie, podczas gdy inne pracują w mrowisku i na drzewach, to zobaczymy, że podobieństwo to rozciąga się nawet do organizacji społecznéj***).

Że człowiek z natury ma wojownicze usposobienie, to dowodem krew przelewana nieustannie na wszystkich punktach kuli ziemskiéj, brocząca karty historji; dowodem, że kobiéty nawet dość chętnie biorą się do oręża. Spotykamy się z niemi często na polach bitwy, począwszy od owych amazonek, które wypalały sobie prawe łono aby mieć wolniejszą rękę do boju, aż do tych, które w ostatniéj wojnie na barykadach Paryża zawstydzały walecznością osiwiałych w służbie żołdaków. Jeżeli w armji Korteza służyło wiele Kastyljanek znakomitego nawet rodu, jak n. p. Beatriz de Palacios, Marja de Estrada, Beatriz Bermudez lub Juanna Rodriguez, to i za naszych czasów król Dahomeju ma całe pułki kobiét, bijących się z nieustraszoną odwagą i wytrwałością. Mamyż w końcu wspomnieć jeszcze o dwóch młodych i pięknych siostrach de Fernig, służących pod rozkazami Dumourieza podczas wielkiéj rewolucji, lub o naszéj Emilji Plater i Henryce Pustowojtow?

II.

Wojowniczość nie jest jeszcze niczém w porównaniu z innemi cechami charakterystycznemi natury ludzkiéj. Człowiek pierwotny obcy jest zupełnie uczuciom ludzkości: bić, rabować, czynić krzywdę drugiemu, jest niejako przewodniém jego zadaniem.

Dzicy mieszkańcy wysp Fidyjskich prowadzą dzieci swoje na pobojowisko i uczą je na trupach jak się zabija i pastwi nad nieprzyjacielem; dziecię takie zaledwie chodzić zaczyna, umie już bić własną matkę i jeść ludzkie mięso. Na wyspie Vanua-Levu niema ani jednego mieszkańca, któryby krwią nie splamił rąk swoich.

Oburzamy się słusznie na złe obchodzenie się z więźniami stanu i jeńcami wojennymi w krajach cywilizowanych. Cóż jednak powiedzieć można o sposobie obchodzenia się z niewolnikami nietylko w południowéj stronie Stanów Zjednoczonych, ale n. p. na wyspach Sandwich, w Guatemala lub Nowéj Zelandji?

Cóż powiedzieć o téj ustawie prawa rzymskiego, która w razie zabójstwa patrycjusza, skazywała na śmierć nietylko wszystkich niewolników jego domu, ale też w całym obrębie miasta, gdzie głos nieboszczyka mógł być słyszany?

Obrazy exekucji śmiertelnéj nad jeńcami wojennymi, wziętymi przez Indjan, które czytamy w opisach podróży, przejmują dreszczem najobojętniejszego nawet człowieka. Niewiadomo istotnie co bardziéj przeraża, ponura odwaga i obojętność ofiary, czy też okrucieństwo katów.

Zobaczmy.

Niewolnik przywiązany do pala przygotowując się na męki, wznosi pieśń żałobną.

Dokoła stoją zwycięzcy. Kaci zaczynają krwawe dzieło od kończyn ciała i idą zwolna a systematycznie do wnętrzności.

Jeden wyrywa kolejno paznogcie. Drugi ogryza zębami ciało z palców, inny nabija fajkę kawałkami mięsa wiszącemi jeszcze na penitencie i pali je razem z tytoniem. Następnie palce i uszy trą się na miazgę między kamieniami. Potem zębami rwie się ciało od góry do dołu; przez głębokie wcięcia w muszkułach zasadzają się rozpalone cęgi — kaci rwą i szarpią, palą i szczypią, kolejno wyrywając sobie lepsze kawałki mięsa do natychmiastowego pożarcia.

Gdy już skóra i mięso są obdarte, przebijają błony, łamią ścięgna, naciągają kości, rwą zęby i łupią oczy. Potem nieszczęsna ofiara obsypuje się kawałeczkami zapalonego drzewa i teraz dopiéro kończy życie po długich, często przerywanych katuszach.

Wyższym stopniem opisanych tortur jest zadawanie ich przez kobiéty, te bowiem umieją je bardziéj jeszcze skomplikować i przedłużyć.

Wytrwałość i brawura operowanych godną jest podziwu. Taki Indjanin, Paragwajczyk lub Chińczyk znosi to wszystko z zupełną przytomnością kilka godzin — często przeciągają się męczarnie aż do następnego dnia. Żaden jęk ni skarga nie wyjdzie z ust jego — z początku pali fajkę, potem drwi ze swoich katów, opowiada nierównie boleśniejsze sposoby tortur, które sam zadawał, grozi zemstą swego plemienia, wyrzuca oprawcom niedołęztwo lub nieudolność. Kobiéty poddane podobnym mękom są równie wytrwałe i ubiegają się z mężczyznami o smutną sławę biernego cierpienia.

Czyż mamy dodać, że wielu Europejczyków zginęło w podobny sposób. Dwóch jezuitów: Gabrjel Lallemand i Jan de Brébeuf wpadło podczas misji 1649 r. w ręce Mohawks'ów. Zadano im najokrutniejsze męki. Brébeuf oddał ducha w trzy godziny, lecz silny Lallemand wytrwał pod słupem przeszło 17 godzin, dowiódłszy tym sposobem, że siła bez względu na rasę leży na dnie ludzkiéj natury.

Nie będziemy już przerażać naszych czytelników opisem tortur i mąk zadawanych podług systemu maurytańskiego lub perskiego, chcemy bowiem wykazać, że okrucieństwo nienawiści jest również udziałem społeczeństw cywilizowanéj Europy, nie ustępując w wyrafinowaniu Otwajczykom i Indjanom.

Nie będziemy już wspominali ani o wbijaniu na pal, ani o wieszaniu za żebro na haku, ani o knutowaniu i puszczaniu przez rózgi, bo o tém my Polacy wiemy zbyt dobrze bez opisów. Nie powiemy również ani słowa o dziesiątkach tysięcy ludzi spalonych przez św. inkwizycję po zadaniu im tortur za pomocą maszyn i narzędzi, wynalezionych przez apostołów religji miłości. Natomiast wskażemy podróżującym rodakom ratusz w Norymberdze i takie n. p. podziemia zamków feodalnych jak zamku w Sigmaringen lub Tübingen, gdzie dotąd przechowano starannie cały system więzień

---

*) Patrz: Savage w Bostou Journal of Natural History vol. 5.

**) Patrz: Huber, Recherches sur les moeurs des fourmis, str. 160. — Kirby and Spencer, Introduction to Entomology — list XVII.

***) Patrz: Lardner, Museum of Science and Art, vol. IX, str. 99.

średniowiecznych i tortur używanych hojnie przy badaniu sądów femicznych. Przypomniemy im kolejno: sądy zbuntowanych chłopów nad Renem, Szwabji i Frankonji, śmierć hr. Helfensteina w Weinsbergu, który przy odgłosie piszczałki kłuty był na śmierć spisami przez dwie godziny; rządy Alby w Niderlandach; noc św. Bartłomieja; Katarzynę de Medici pastwiącą się nad nagim trupem Coligniego; rzeź w Passy; pacyfikacyjne zabiegi hr. Waldburga i Kazimierza Hohenzollern we Frankonji i nad Nekarem, którzy powiesiwszy tysiące pokonanych chłopów, ośm tysięcy tychże z wyłupionemi oczyma rozpuścili po wszech drogach. Lecz czyż podobna wyliczać daléj, czy podobna zastanawiać się kolejno nad takim Tomaszem Müntzerem, lub Tytusem Oates, który przywiązany do woza bity był przez dwa dni na drodze z Aldgate do Newgate — czyż ów tłum nie przewyższa dzikością Indjan, który rozszarpał kobiétę omdlałą na widok okrucieństw spełnianych na osobie Baltazara Gérard*), — który swego czasu pożarł marszałka d'Ancre, — który pod wodzą Szeli, bana Jelaczyca i jenerała Haynau popełniał okrucieństwa, na wspomnienie których krew stygnie, — który darł w kawałki księżnę Lambale i jadł serce Witta?

*) Patrz: Gacharda w Bulletins de l'Acad de Belgique 1857.

Tamerlan stawiał piramidy z głów ludzkich, Kartagińczykowie zdobili świątynię Junony skurami zdartemi z kobiét wziętych do niewoli, Indjanie i Scytowie zdejmowali skalp — to rzeczy stare. Lecz Jołszyn wybijał zęby rękojeścią szpady, Murawiew wywieszał pół Litwy — lecz Gladston zwiedzając w 1850 r. więzienia neapolitańskie, znalazł w nich 30 tysięcy politycznych ofiar gnojonych systematycznie na śmierć, — lecz w więzieniu Black-Hole w Kalkucie mało kto żyje trzy dni, lecz 1848 r. jeszcze w Burgu wiedeńskim stał model wszystkich podziemnych więzień stanu, aby sam cesarz mógł łaskawie wyznaczać miejsce powolnéj śmierci swoim przeciwnikom, — lecz żołdactwo austrjackie podczas rozruchów w Pradze topiło w kloakach chwytanych na ulicy patrjotów i nasz rodak ś. p. Jerzy ks. Lubomirski dziwnym tylko przypadkiem uszedł podobnéj śmierci. Lecz nakoniec w 1870 r. w pierwszy dzień wielkanocny rząd grecki wystawił u bram ateńskich głowę ściętego Arvanitesa i sześciu jego wspólników.

Patrzmy na genjalne rysunki Artura Grottgera — to obraz cywilizowanéj ludzkości.

Dr. W. M. O.

Trachińskie dziewice

Sofoklesa.

(Dokończenie.)

W przydłuższéj może opowieści przedstawiłem wiernie treść i cały przebieg dramatycznéj akcji „Trachińskich dziewic", rozpadających się właściwie na 2 części — w pierwszéj główną osobą, na około któréj wszystko się obraca, jest Dejanira — w drugiéj konający Herakles. Ten rozdział, ta dwoistość akcji wyradza wielką trudność w dokładném ocenieniu tragedji i jest przyczyną niedoskonałości, niedokładności, jedném słowem chybionego układu. — Bo któż jest głównym bohatyrem — Herakles, czy Dejanira, czy oboje razem? — Jeśli Dejanira, po cóż ten przydłuższy epilog? po cóż ten szamocący i w bólach wijący się Herakles? — Jeżeli zaś Herakles jest główną osobą, czemuż dopiéro w czwartéj części tragedji występuje, czemuż go nie widzimy w pierwszych, czemu tylko bierną a nie czynną odgrywa rolę? Przecież nie trudno było Sofoklesowi z tego ideału greckiego herosa zrobić bohatyra tragicznego, potrzeba tylko było kilku śmiałych rzutów genjalnéj jego myśli — a jużby stał przed nami wtóry Ajas, Neoptolem, Filoktet albo Oidyp. Zresztą w takim razie musiałby cały układ tragedji naszéj być inny — miasto w Trachinie musiałaby się rzecz dziać pod murami Ojchalji, Herakles sam musiałby nam odsłonić do głębi duszę swoją, musiałby nam się przedstawić jak Oidyp lub Kreon w całéj wielkości swojéj — i dopiéro z téj wyżyny poeta siłą tragicznego zawikłania strąciłby go na stós płonący — a wszystkie tak obszernie przedstawione, całą niemal akcję zajmujące zajścia w Trachinie, musiałyby z gienetycznéj zamienić się w narracyjną część tragedji.

Jakaż daléj przewodnia idea w tragedji naszéj? — Schlegel, który, jak nam już wiadomo, nie bardzo łaskaw na ten utwór Sofoklesa, powiada o Trachinkach*):

Der Leichtsinn der Dejanira wird schön abgebüsst und das herkulische Leiden würdig geschildert.

Aleź najprzód lekkomyślność raczéj do komedji, aniżeli do tragedji się nadaje, a po drugie Dejanira w Trachińskich dziewicach wcale a wcale lekkomyślną nie jest; wszędzie z jéj słów i z jéj czynów przebija się rozwaga, stateczność — głęboka miłość ku mężowi i dzieciom. Toć nawet wtenczas gdy powstała w jéj duszy myśl odzyskania za pomocą czarodziejskich środków miłości Heraklesa, idzie się radzić wiernego chóru — i powiada, że jeśli chór nie uważa tego za dobre, to od zamiaru odstąpi. — Nie można się również zgodzić na to, aby śmierć tragicznego bohatyra, spowodowana lekkomyślnością Dejaniry, a więc przypadkiem, miała być główną myślą Sofoklesowéj tragedji. — Nie, śmierć jego winna być nieuniknioném następstwem etycznego jego postępowania. Jak ślepota Oidypa jest chłostą za jego występki, samobójstwo Ajasa karą za jego dumę i wyniosłość, tak i tu śmierć Heraklesa nie może być ślepego przypadku igraszką, ale karą za przewinienie, za zgwałcenie moralnego porządku.

Jacob w swych Quaestiones Sophocleae, które niegdyś głosił z katedry warszawskiéj wszechnicy, pisze: „Nam się zdaje, że Sofokles w Trachińskich dziewicach wykazał, jak wielka jest potęga miłości i jak wielkie z niéj powstają nieszczęścia" — a tę samą myśl upatruje w naszym utworze L. hr. Stolberg, w przedmowie do swego przekładu. Wedle Jacoba Sofokles chciał tą tragedją przestrzedz Ateńczyków, by zanadto nie służyli zdradnéj kypryjskiéj bogini, która mianowicie od czasu gdy słynna przymiotami ducha i ciała Aspazja z Miletu siła nadobnych dziewic do Aten sprowadziła, zanadto rozpostarła panowanie swoje — a nawet w nocie dodaje, że prawdopodobnie Sofokles nie na jedném miejscu (których jednakże nie cytuje) wprost pije do Periklesa i Aspazji, którą, jak pisze Plutarch, komicy często Omalą, Junoną lub Dejanirą nazywają. Przeciwko temu naprzód nadmienić wypada, że prócz krót-

*) Vorlesungen über dr. Kunst u. Lit. p. 177. Ze Schleglem zgadzają się: Scaliger, Corneille, Brumoy, Laharpe, Groddeck.

kiéj pieśni chóru 493—520 a właściwie tylko strofy pierwszéj 493—510, gdzie mowa o potędze i sile miłości, któréj ani bogi ani ludzie oprzeć się nie mogą — i oprócz kilku orzeczeń Dejaniry, która prawi jak płonny jest wszelki opór stawiany temuż uczuciu (νοσος), nie znajdujemy więcéj znaków i wskazówek, któreby nas naprowadzały na myśl przez Jacoba Sofoklesowi insynuowaną; zwracamy nadto uwagę i na to, że w tragedjach Aischylosa i Sofoklesa miłość idealna bardzo małą odgrywa rolę — zresztą zaś wiadomo, iż pojęcie miłości u starożytnych trochę było inne od naszego — i wedle ówczesnych pojęć miłość nie nadawała się na myśl przewodnią do tragedji — bo zadaniem greckiego tragika nie było roztkliwiać serc czułych miłosnemi przygody — ale podnosić ducha szczytnemi ideami — religijno-moralnéj treści.

Takie samo zdanie ma o Trachińskich dziewicach Gruppe, lecz to nie zasługuje na uwagę, bo z luźnéj jego gadaniny znać zbyt widocznie, że Trachinek nie czytał z uwagą.

Solger w przedmowie do swego przekładu twierdzi, jakoby Sofokles chciał pokazać i udowodnić, że nawet syn Zeusa urodziwszy się człowiekiem, nie mógł ujść ogólnego przeznaczenia ludzkiego i musiał, aby boskość dosięgnąć, człowieczeństwo swoje ogniem zniszczyć. Fischer i Gruppe wykazali bezpodstawność tego twierdzenia.

Inni nareszcie nie mogąc ani przewodniéj idei, ani głównego bohatyra przedstawionego wedle sofoklesowéj modły znaleść — zwątpili o autentyczności Trachińskich dziewic, uważając je za niegodne mistrzowskiego pióra Sofoklesa — jak A. W. Schlegel, domyślający się, że są dziełem Jofonta albo któregobądź ze sofoklesowéj szkoły; Hermann w przedmowie (pag. XIII) wnioskując z przeróżnych warjantów, tantologji i t. d. zauważył, że prawdopodobnie były dwie recenzje tego dramatu, a Wunder w rozprawie swéj „Emendationes in Sophoclis Trachinias“ spisał spory fascykuł konjektur — na które nie zawsze zgodzić się można.

Co do mnie, to nie jestem zdania onych krytyków, co stawiwszy a priori twierdzenie, że Sofokles jest znakomitym mistrzem — zawyrokowali, że albo wszystkie utwory jego muszą być niepospolitéj wartości — albo, jeśli takiemi nie są, nie mogą być jego pióra — toć też nie chciałbym à tout prix windykować przymiotu doskonałości naszéj tragedji, wszelako mniemam, że gdyby nam się udało wynaleść sposób widzenia, wedle którego całość dobrzeby się przedstawiała, onéj jednostronności byśmy się uchronili, biorąc rzecz zupełnie objektywnie i do jaśniejszego zrozumienia rzeczy niecobyśmy się przyczynili.

Nam się zdaje, że przewodnią myślą w Trachińskich dziewicach Sofoklesa jest wykazanie świętości idei małżeństwa, które ze dwóch składając się czynników, męża i żony, koniecznie dwóch mieć musi reprezentantów, — tutaj Dejaniry i Heraklesa — z czego w naszéj tragedji wywięzuje się dwoistość akcji. Jako dowód niech nam posłuży stosunek Trachińskich dziewic do reszty tragedji sofoklesowych a mianowicie do Elektry i Antigony — i wskazówki w samymże utworze naszym na różnych miejscach porozrzucane.

Stara to i dawna prawda — że „nie od razu Kraków zbudowano“, że nawet genjusz nie od razu stanie się genjuszem, ale jak wszystko ziemskie stopniowo, choć może w odmienny sposób od nas zwykłych śmiertelników, rozwijać się musi — aż z czasem stanie na onéj wyżynie, z któréj już jak orzeł z alpejskich szczytów po nad innemi góruje ziemiany, tak też pono było i z Sofoklesem — jak nas na to naprowadzają własne jego słowa, które nam skrzętny starożytności zbieracz Plutarch zachował*). Wedle tego świadectwa miał Sofokles sam o sobie mawiać, że 1) naprzód naśladował wyniosły a często nadto wybujały styl Aischyla, 2) że następnie przerzucił się w drugą ostateczność umyślnie twardego, logice kompozycji skąpo odpowiadającego stylu, 3) że wreszcie starał się w wykonaniu o większą miękkość i naturalną nierówność, stósownie do charakterów przedstawionych osób. Owóż wedle własnego wyznania Sofoklesa trzy niejako w rozwoju jego talentu przyjąć trzeba stopnie. Z pierwszego, w którym jeszcze naśladował Aischyla, nic nam nie pozostało, z drugiego działu, którego charakterystyczną cechą το πιχρον χαι χατατεχνον — gdzie forma i treść jeszcze się zupełnie i całkowicie nie przenikają, nie uzupełniają — albo mówiąc jaśniéj, gdzie skąpa niewykończona forma jeszcze nie dorównuje polotowi myśli — ocalały nam Trachińskie dziewice — w trzeci zaś dział zaliczylibyśmy resztę utworów sofoklesowych — gdzie już genjusz jego jaśnieje w całym blasku i świetności.

Tém twierdzeniem sprzeciwiamy się jednakże wprost przyjętemu między filologami zdaniu, jakoby Antigona była pierwszą z ocalonych tragedji Sofoklesa — jest ona z rzędu 32ga i przypada na rok III Olymp. LXXXIV. 432/31. Tymczasem ani to twierdzenie, ani też domysłowe oznaczenie czasu powstania reszty tragedji nie opiera się na żadnych pewnych danych, ściąga się zresztą raczéj do czasu przedstawienia aniżeli napisania — i nie opiera się na żadnych pewnych niezbitych dowodach — są to po części hypotezy osnute na miejscach, mających się rzekomo odnosić do ówczesnych wypadków, przypuszczenia mniéj więcéj chwiejne, oparte na wnioskach z późniejszych orzeczeń komików — które jeśli się wewnętrznym powodom sprzeciwiają, na zbyteczną wiarę nie zasługują — i nie zmuszają nas bynajmniéj abyśmy bezwzględnie mieli jurare in verba magistri. — O Trachińskich dziewicach zresztą wcale nic nie wiemy, kiedy powstały — nie mamy więc powodu żadnego aby się wahać w obec ważnych przyczyn przestawić je z miejsca, na dotychczasowym szematyzmie zajmowanego, na inne stósowniejsze.

Trachińskie dziewice niezaprzeczenie są najsłabszym z zachowanych utworów Sofoklesa, nie wyrównywającym reszcie czy to pod względem myśli, czy ułożenia, czyli téż stylu, choć mimo to noszą na sobie cechę niezaprzeczoną sofoklesowego pióra. Niepodobną zaś zdaje nam się rzeczą, aby Sofokles napisawszy oną przecudną Antigonę, ukończywszy Oidypa króla, najlepsze swe dzieło, miał dopiéro potém napisać Trachinki. — Nie, tego przyjąć niepodobna i w obec takich danych, w obec takiéj nierówności, każdy się zgodzi, że wedle naturalnego doskonalenia się poety i wzmagania się jego talentu i na utworach jego jakieś piętno tego stopniowania wyryte być musi — i tak samo jak nasz Adam Dziadów napisać nie mógł przed balladami, ani nawet przed Grażyną i Wallenrodem, ale dopiéro gdy obiit Conradus natus est Gustavus, tak samo też i Sofokles nie napisał Oidypa przed Trachinkami. — Nam się zdaje, że Trachinki, Elektra i Antigona stanowią jednę całość — i następują w tym chronologicznym porządku po sobie, w którym je wyliczyliśmy, obejmując sobą jednę wielką ideę rodziny w rozmaitym stosunku wśród rozmaitych okoliczności. — A że scenę ateńską uważamy za szkołę ateńskiego ludu, w któréj tenże krzepił, podnosił i uszlachetniał ducha swego, w któréj się karmił wzniosłemi prawdami zaczerpniętemi z duszy swych wielkich mistrzów, dla tego też rozumiemy, czemu Sofokles w tym właśnie czasie obrał tę ideę za tema do swych tragedji.

Po wojnach perskich gdy Grecja tak od razu zmę-

*) Patrz: Fabricius Bibl. Graeca II, 17, §. 1. A. Schöll über d. Fortschritt in d. Tugend. Lessing l. c.

żniała, kiedy w duszach jéj obywateli takie tętno życia zadrgało, że stare przyjęte obyczaje, zwyczaje, instytucje już wątłemi formy pełni tego życia objąć nie mogąc, rwały się i rozpadały — kiedy niejako wstrzęsły się podwaliny moralnego bytu — trza było nowych, odpowiednich nowemu położeniu, nowym wyobrażeniom, trza było unormować, ustalić ogólne pojęcia moralne, aby rozbudzony duch mógł się o nie by o graniczne kopce lub wytyczne słupy oprzeć w niestrudzonéj pracy swojéj. Toć téż raźno pracują na każdéj dziedzinie wielkie umysły onéj epoki: Perikles zakłada demokratycznych rządów podwaliny, Thukydides uczy jak pojmować i pisać dzieje, Sokrates filozofję z nieba na ziemię sprowadza — a nasz Sofokl? on w swych tragedjach wypowiada one czarodziejskie słowa, na polu moralném i na wzorach swych wielkich bohatyrów kształci lud ateński już nie tak jak poprzednicy jego, co się gubili po nieprzejrzanych manowcach kapryśnéj Bogów swych woli, albo nieubłaganém fatum druzgotali bezwinne swe bohatyry. Nie, u niego występują postacie pełne życia, odpowiadające za swe własne czyny, wypływające z głębi ich woli i przekonania, bo tu wolny, siebie świadomy duch działa a nie straszliwe tajemnicze fatum. Mając takie zadanie przed sobą, nic dziwnego, że działalność swoją jako poeta-tragik zaczął od ustalenia pojęcia rodziny. — Rodziną, pomyślał, stoi państwo całe — od rodziny téż zacząć mi potrzeba, określić jasno prawa i obowiązki pojedyńczych jéj członków — stosunek męża do żony, dzieci do rodziców i całéj rodziny do państwa — i oto gotowa już ona trylogja wspaniała — nie zewnętrznych faktów spętana ogniwem, ale w trzech wielkich rysach, w trzech myślach znakomicie przeprowadzonych w harmonijną łącząca się całość — to Trachińskie dziewice, Elektra, Antigona.

Tu Herakles świętość małżeńskiego hardo depcący związku ginie własną winą, pociągając upadkiem swym w otchłań zaguby i Dejanirę, co nie otwarcie, nie środkami złożonemi w sercu niewieściém przez bóstwo walczyć chce przeciw niewiernemu mężowi, ale jakiemiś tam czary a uroki zapożyczanemi z onych starych wyobrażeń, po przez które niemiłosiernie potoczył się rydwan czasu, które bodaj nigdy nie wrócą, aż chyba duch ludzki w nocy obłędu znów się w nich uwikła.

W Elektrze zbrodnicza Klytajmnestra zgwałciwszy stosunek żony do męża, matki do dzieci (drugi stopień) ginąć musi niemiłosiernie z ręki własnego syna jako potworna matka, bo tego wymaga święta rodziny idea; sam Bóg pytyjski ocalonemu Orestowi strasznego czynu dokonać nakazuje, zrzekając się w tym razie przynależnego sobie prawa, nie prześladuje matko-bójcy — i same Bogi na trybunalskich zasiadłszy tronach, wymawiają uroczyście Absolvo!

W Antigonie Kreon, co uniesion samodzierczą dumą i nienawiścią, nie pozwala Antigonie pogrześć nieszczęśliwego brata Polynejkesa, poległego w pojedynku z Eteoklem, ponieważ gwałci prawo przyrodzone, ponieważ nad święte uczucia rodzinne przenosi osobistą zemstę i polityczne widoki — uledz musi, nie we własnej prawda osobie, ale w osobach sercu swemu najbliższych — bo zaledwie Antigona wygłosiwszy oną serce rozdzierającą skargę w samym rozkwicie zgnieconéj młodości w kamiennéj pieczarze żyć przestała, syn Kreonów, Haimon, przy boku oblubienicy samobójczą ręką się zabija, a żona Kreona Eurydike wiesza się na wieść o śmierci syna.

Niepodobna tutaj nie spostrzedz tak jasno wyzierającéj wspólności głównéj myśli: a jest nią stopniowo się rozwijająca idea walki w obronie świętości rodziny, którą toczą bohaterki nasze: Dejanira, Elektra i Antigona, trzy najwybitniejsze postacie niewieście w sofoklesowych tragedjach, nie z innéj przyczyny, jeno że w rodzinie centrum, około którego wszystko się skupia, jest niewiasta, że jéj obowiązkiem stać na straży świętości domowego ogniska.

Kantecki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
O
RZECZACH POLSKICH.

— **Dr. August Mosbach**, znany z prac swych historycznych, wydaje we Wrocławiu dzieło w języku niemieckim: Polnische Kriegsberichte. Ein Beitrag zur französisch-deutschen Kriegsgeschichte von 1806—1813. Teraz zaś pracuje nad nowém dziełem pod tytułem: „Stosunki między Polską a Rosją od Piotra W. do Katarzyny II.

* *
*

— **Jana Zacharjasiewicza** powieść p. n. „Noc królewska“ przełożoną została na język czeski i drukuje się w zbiorze „Tańiéj bibljoteki ludu czesko-morawskiego.“

* *
*

— **Józef Antoniewicz** tłumaczy na język polski dzieło Darwina: „O zmienności zwierząt i roślin pod względem hodowli.“

* *
*

— Towarzystwo etnograficzne paryzkie w r. 1868 ogłosiło konkurs na rozprawę: **„Nestor i Viquesnel“**, mającą na celu postęp w badaniach o pierwotnéj Sławiańszczyznie. Przedmiotem pierwszego pytania było: „Przedstawić formuły dla wykładu szkolnego historji ludów sławiańskich, odpowiednie dzisiejszemu stanowi krytyki.“ Za odpowiedź na to pytanie otrzymali medale francuzcy pisarze pp. Steinbach i Emil Hervet. Na drugie pytanie: „Jak się tworzył naród polski?“ nadesłano również kilka rozpraw. Jednę z nich przyjęto pod rozwagę i zażądano tylko od autora pewnych dopełnień, podając następującą deklarację: „Towarzystwo etnograficzne przedłużyło do roku 1873 termin konkursu „Nestor i Viquesnel“ co do odpowiedzi na pytanie: **Jak się tworzył naród polski?** wzywając autora nadeszłéj rozprawy, aby dopełnił pracę swoją dodatkiem dwóch rozdziałów, t. j. 1) Sprawozdaniem ze stanu nauk antropologicznych, tyczących się plemienia polskiego; 2) Streszczeniem prac wykonanych nad gramatyką porównawczą języków sławiańskich z zastosowaniem do języka polskiego.“ Towarzystwo uważałoby też za nader ważne oznaczenie różnych narzeczy mowy polskiéj, z wykazaniem ich na osobnéj mapie. Data złożenia rozprawy kończy się z dniem 1go października 1873 r. (Św.)

* *
*

— Pomiędzy rękopismami, które pozostały po **Józefie Korzeniowskim**, znaleziono dwie tragedje, napisane wierszem, jedna z nich zatytułowaną jest „Mieczysław“,

druga „Pelopidowie.“ Oba te dotąd niedrukowane utwory znakomitego dramaturga, będą pomieszczone w nowém zupełném wydaniu jego dzieł, obecnie wychodzącém staraniem i nakładem redakcji czasopisma „Kłosy.“

* * *

— Redakcja Tygodnika Wielkopolskiego przyjmuje przedpłatę w ilości 1 talara na mające wyjść dzieło ś. p. **Józefa Celińskiego** p. t. „Studja astronomiczne.“

* * *

— We Lwowie ma wychodzić zeszytami „**Księga żywotów świętych Pańskich.**“

* * *

— Do liczby najużyteczniejszych publikacji u nas należy „**Bibljoteka rzemieślnika polskiego**“, wydana staraniem księcia Tadeusza Lubomirskiego, a obejmująca dotąd: Przewodniki dla cieśli, stolarzy, kowali i giserów. Obecnie przygotowano już do druku: Przewodnik dla murarzy, następnie zaś wyjdzie przewodnik dla ślusarzy. — Specjaliści, którzyby chcieli się podjąć ułożenia tego ostatniego przewodnika, zechcą się zgłosić w celu bliższego porozumienia się do księgarni pp. Gebethnera i Wolffa w Warszawie przed 1 września roku bieżącego. (Dz. pol.)

Przedpłaciciele

na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

242. JWna Ludwika z hr. Ostrorogów bar. Olendzka...... 1 egz.
243. Wny Wład. Kosiński.............................. 1 „

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.